

Leman Bob

Pielgrzymka Clifforda M.

Z „Fahrenheit”

Wielu spośród moich kolegów uznało, że mój artykuł zatytułowany "Przypadek Clifforda M." może, po przełożeniu na bardziej przystępny, pozbawiony specjalistycznych terminów język, zainteresować szeroko rozumianą opinię publiczną. Podjąłem ten trud, i chciałem teraz przedstawić efekty mojej pracy. Z jednej strony nieco rozszerzyłem artykuł, dodając informacje i wyjaśnienia natury biologicznej, których nie było w jego oryginalnej, przeznaczonej dla specjalistów wersji, z drugiej zaś znacznie go skróciłem, rezygnując z zamieszczenia wykresów, tabel i partii tekstu istotnych jedynie dla wąskiego grona fachowców.

Dla zrozumienia przypadku Clifforda M. trzeba przede wszystkim być świadomym sposobu, w jaki rozmnażają się istoty, o których będziemy tutaj mówić. Szeroko rozpowszechniony jest pogląd, że po to, by przedłużyć istnienie gatunku, wampiry muszą doprowadzić w jakiś sposób do tego, by człowiek skosztował ich krwi; potem, gdy człowiek taki umrze, zmartwychwstanie już jako wampir. Tego typu przekonanie należy określić jako czysty przesąd. Ci, którzy umierają w wyniku jednorazowej napaści czy też długotrwałej "eksploatacji" przez wampiry, pozostają już martwi, a poza tym wampiry to ssaki - dosyć specyficznego rodzaju, rzecz jasna - i rodzą się nie inaczej tylko właśnie jak ssaki. Istnieją jednak, co prawda, pewne różnice.

Młode wampiry przychodzą na świat mniej więcej raz na dwieście lat w miotach liczących od ośmiu do dwunastu szczeniąt. Samica ma dziesięć sutek, więc w przypadku liczniejszego miotu najslabsze szczenięta, które nie są w stanie dopchać się do pokarmu, muszą zginąć. Ci, którzy są choćby pobieżnie odczytani w przedmiocie, przypominają sobie z pewnością, że nikt nigdy nie widział jeszcze dorosłego wampira bez ubrania. Wynika to stąd, że ponieważ wampiry najczęściej udają zwyczajnych ludzi, dodatkowe piersi samicy (jak również dosyć niezwykła budowa genitaliów samca), muszą być starannie ukryte. Na przestrzeni ostatnich lat pojawiły się przeznaczone dla szerokiego kręgu czytelników publikacje, z których wynika, że wampiry są jakoby zdolne do mniej lub bardziej normalnego współżycia seksualnego z ludźmi. Jest to, rzecz jasna, całkowicie niemożliwe i opisy tego rodzaju aktów należy uznać wyłącznie za twory wyobraźni.

Nie udało się, jak do tej pory, ustalić dokładnie okresu trwania ciąży, ale jest on z całą pewnością bardzo długi - może nawet sięgać dziesięciu lat. Młode zaraz po urodzeniu są bardzo małe, ważą z reguły nie więcej niż pół funta i w niczym nie przypominają dorosłych osobników. Można je raczej porównać do wyposażonych w szczątkowe kończyny kijanek czy nie rozwiniętych całkowicie płodów (dosyć znaczną popularnością cieszy się teoria, według której wampiry są w odległy sposób spokrewnione z torbacami). Najbardziej rzucającą się w oczy cechą młodych szczeniąt są ich zęby; mają je już od urodzenia i to w takiej ilości, że nie sposób ich nie zauważyć. Zaraz po przyjściu na świat pełzną w stronę sutka i przywierają do niego, pozostając tam przez okres dwóch lub więcej lat. Przez ten czas samica odżywia się ludzką krwią przynoszoną jej na ziemię przez samców, wśród których może, ale nie musi być także ojciec potomstwa. Przekazują jej pokarm w identyczny sposób, jak większość gatunków ptaków, karmiących swe już nieco podrośnięte młode - trzeba mieć rzeczywiście odporny żołądek, bo móc myśleć o tym w beznamiętny, chłodny sposób. Warto zwrócić uwagę na fakt, że przez cały okres karmienia młodych samica odżywia się *wyłącznie* ludzką krwią, podczas gdy zazwyczaj wampir potrzebuje tego pożywienia jedynie na co dwunasty posiłek, podczas pozostałych zadowolając się krwią jakiegokolwiek stałocieplnego stworzenia.

Odstawione od piersi szczenięta także przez jakiś czas otrzymują wyłącznie ludzką krew. Samo odstawienie jest nagłe i przebiega w dosyć gwałtowny sposób: matka rozwiera siłą uzębione szczęki i

odpycha młode od siebie. Czyni to jednak bardzo ostrożnie, bowiem ostre zęby usiłują zacisnąć się na czymkolwiek, co tylko znajdzie się w ich zasięgu. Specjalnie na tę okazję samce dostarczają nieprzytomnego człowieka; szczenięta są podsuwane w jego stronę, szczęki wpijają się w ciało i powodowane wrodzonym odruchem młode zaczynają ssać, kosztując po raz pierwszy świeżej ludzkiej krwi i skazując się jednocześnie na co prawda okresową, ale mającą trwać całe ich życie, od niej zależność.

W tym okresie szczenięta ciągle jeszcze mają nieproporcjonalnie duże głowy i usta nieproporcjonalnie duże nawet w stosunku do rozmiarów tych głów. Kończyny zdążyły się już niemal całkowicie rozwinąć, ale koordynacja mięśniowa jest jeszcze bardzo słaba, toteż szczenięta, chociaż wyposażone w monstrualne szczęki i potworne zęby, pozostają niemal całkowicie bezbronne. Są pokryte gęstą, czarną sierścią, którą tracą niemal zupełnie w wieku piętnastu lub szesnastu lat; sierść pozostanie jedynie na głowie (Samce wampirów nie mają żadnego zarostu. Stoker wyposaża Draculę w mały wąsik, ale jest to zaledwie jeden z błędów, jakie możemy odnaleźć w jego pracy).

Kiedy szczenięta przestaną już ssać, samica przyłącza się do polowań i co noc, niemal aż do świtu młode zostają same. W przeciwieństwie do dorosłych osobników nie zapadają w trwającą od wschodu do zachodu słońca śpiączkę, tylko stają się nieco bardziej ociężałe i skłonne do czegoś w rodzaju lekkiego letargu. Skłonność ta nasila się z wiekiem. Umiejętność przyjmowania postaci nietoperza lub ogromnej ćmy pojawia się dopiero w okresie młodzieńczym, ale kiedy dokładnie okres ten następuje - nie wiadomo.

Na pierwszy sygnał o istnieniu Clifforda M. natrafiamy w kilku listach, napisanych nieporadnie w latach osiemdziesiątych XIX wieku do narzeczonego przez młodą kobietę nazwiskiem Dulcie Fimber. Obydwoje narzeczeni pochodzili z górskiego okręgu Comber, znajdującego się w pobliżu miejsca, w którym stykają się granice stanów Virginia, Tennessee i Kentucky. Młody człowiek wyjechał do pracy w kopalni, by przez rok zarobić na wybudowanie nowej chaty dla swojej żony, zaś Dulcie pozostała w domu ze swymi rodzicami oraz okazałą gromadką młodszego rodzeństwa i co tydzień pisała do niego listy.

Znajdujące się w tych listach wzmianki o "małpce Ossiego" niemal na pewno odnoszą się właśnie do Clifforda M. Ossie Fimber był jednym z młodszych braci Dulcie, w owym czasie czternasto- lub piętnastoletnim. Po wypełnieniu kilku luk w naszkicowanej w listach historii i sprawdzeniu niektórych faktów otrzymujemy relację o odkryciu istnienia Clifforda M., która z całą pewnością niewiele różni się od rzeczywistości.

Mały Ossie był włóczęgą i znakomitym myśliwym. Już w wieku jedenastu lat weszło w jego zwyczaj znikanie ze strzelbą w lesie na kilka nawet dni; zawsze wracał z dużą ilością drobnej zwierzyny, która przyczyniała się do urozmaicenia i wzbogacenia posiłków na rodzinnym stole. W miarę, jak rósł, te nieobecności stawały się coraz dłuższe, zasięg zaś jego wędrówek odpowiednio się zwiększył, więc jaskinia, którą pewnego dnia odkrył, mogła znajdować się nawet i pięćdziesiąt mil od domostwa rodziców. Samo odkrycie nastąpiło w ten sposób, że kiedy lunął znieczulony, gwałtowny deszcz, chłopiec schronił się pod pobliskim skalnym nawisem. Przy samej ziemi zauważył jakiś otwór; wsadziwszy weń głowę stwierdził, że prowadzi do jaskini. Zapamiętał sobie dokładnie to miejsce i postanowił zbadać ją w drodze powrotnej.

Nie była to jakaś szczególnie skomplikowana czy niebezpieczna jaskinia - w każdym razie ta jej część, którą zdążył poznać. Trudno określić jej wielkość, bowiem kiedy Ossie natrafił na tajemnicze istoty, nie zagłębiał się już dalej. Oświetlając sobie drogę płonąca czerwono pochodnią zsuwał się właśnie ostrożnie w dół skalnym korytarzem, kiedy nagle po prawej stronie, niedaleko od swojej nachylonej twarzy - korytarz był bardzo niski - zobaczył żarzące się niczym małe węgielki oczy. Cofnął się raptownie i zmarł. Oczy nie poruszyły się. Było ich osiem lub dziewięć par. Zbliżył do nich pochodnię; ciągle żadnego ruchu. Nachylił się ostrożnie nad nimi, oświetlając je dokładnie pochodnią i zmarł ponownie. Wychował się w górach, był myśliwym i pewne rzeczy wyczuwał po prostu instynktownie. Zdał sobie od razu sprawę z tego, że te stworzenia są jakimiś szczeniętami czy kociećkami, a tam, gdzie były młode, zwykle znajdowała się również matka, gotowa do ich obrony. Stworzenia te ogromnie go zaciekawiły - nigdy jeszcze nic takiego nie widział - ale niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu. Zaczął się ostrożnie wycofywać. Ledwie wykonał pierwszy ruch, a osiem czy dziewięć uzbrojonych w potworne zęby szczęk zaczęło kłapać w jego kierunku, czyniąc w zamkniętej skalnymi ścianami przestrzeni niesamowity hałas. W tej samej chwili spostrzegł z przerażeniem, że istoty gramolą się z nisz, w której były skulone i pełzną

w jego kierunku. Poruszały się w nieskoordynowany, nieudolny sposób, ale małe, czerwone ślepia płonęły bezlitosnym blaskiem, potężne szczęki otwierały się i zamykały, zaś uparty, bezustanny ruch odzwierciedlał, jak mu się wydawało, bezmyślne dążenie do jednego: żeby zatopić straszliwe zęby w jego ciele.

Cofnął się raptownie, a one ruszyły za nim, pełzną po skalnej podłodze i skomlały pożądliwie. Wkrótce dotarł do miejsca, w którym korytarz rozszerzał się, sufit zaś znajdował się już dość wysoko, żeby można było swobodnie stanąć. Kiedy wyprostował się i spojrzął z góry na małe istoty, ogarnęła go nagła fala wstrętu i obrzydzenia. Odłożył pochodnię, chwycił oburącz strzelbę i zaczął uderzać z całej siły kolbą; jak długo to trwało, nie mógł sobie przypomnieć, ale kiedy gorączka zabijania minęła, na podłodze jaskini nic już się nie poruszało. Przypomniawszy sobie wtedy o istnieniu matki, czym prędzej więc chwycił pochodnię i ruszył w kierunku wyjścia. Korytarz znowu się zwęził, tym razem tak bardzo, że musiał czołgać się na brzuchu. W pewnej chwili poczuł, że coś chwyta go za piętę, ale nie mógł się odwrócić, więc tylko pełził przed siebie najszybciej, jak tylko potrafił, oczekując, że w każdej chwili chwyta go od tyłu wielkie, bezlitosne zęby. Wypadł z jaskini prosto w oślepiający blask południowego słońca i odwrócił się, zwracając twarz do ziejącego w skalnej ścianie otworu. Nic. Odetchnął z ulgą i wtedy poczuł, że ciężar u pięty nie zniknął. Spojrzął w dół; jedna z małych istot zatopiła zęby w podeszwie buta, usiłując bezowocnie wyssać z twardej, wyprawionej skóry jakiegoś pożywienia. Wystawiona na światło dzienne zwinęła się w ciasną kulę i zacisnęła powieki, ale nie zwolniła uchwytu. Mogła mieć jakieś dwie stopy długości, była całkowicie pokryta czarną, gęstą sierścią i miała cztery pająkowate kończyny, z których dwie najwyraźniej służyły jako ręce. Ossie zadrżał z obrzydzenia i machnął gwałtownie nogą; bez rezultatu.

Chłopiec stanął przed nie lada problemem: musiał czym prędzej oddalić się od jaskini, bowiem w każdej chwili mogła pojawić się matka szczeniąt, ale przecież nie dałby rady pokonać długiej drogi do domu bez buta, nie bardzo zaś wiedział jak mógłby go odzyskać. Zęby, które bez żadnego problemu wbiły się w twardą niczym kamień podeszwę, musiały budzić respekt.

Miał ze sobą worek z grubego płótna przeznaczony na drobną zwierzynę, jaką zdarzyłoby mu się upolować. Pomyślał, że może worek posłużyłby mu jako coś w rodzaju ochronnych rękawic, przy użyciu których mógłby pokusić się o odcięcie zwierzęcia od swojego buta. Czym prędzej wysypał na ziemię wiewiórki i króliki, które niósł do domu i zaczął zastanawiać się nad sposobem takiego zawinięcia worka, żeby mógł w najlepszy sposób go wykorzystać.

Jedna z wiewiórek upadła tuż koło buta; ruchem niemal zbyt szybkim, żeby go dokładnie zaobserwować, tajemnicze stworzenie puściło podeszwę i zatopiło zęby w ciele gryzonia, po czym zamarło w bezruchu.

Ossie czym prędzej założył but, wrzucił z powrotem do worka upolowaną zwierzynę, a następnie, tknięty jakimś impulsem, za pomocą długiego kija umieścił w nim także wiewiórkę i wczepione w nią stworzenie. Gdyby zaczęło za bardzo rozrabiać, łatwo będzie je mógł zatłuc, nie wyjmując z worka, a jeśli pozostanie równie spokojne, jak teraz, to będzie mógł zbadać je dokładnie w domu. Maszerował całą noc - i całe jego szczęście, bowiem o zachodzie słońca dorosłe wampiry z pewnością obudziły się i odkryły swoje martwe dzieci. W chacie znajdowała się klatka, w której trzymano czasem złapane żywcem kuny; Ossie wysypał do niej całą zawartość swego worka i pośpiesznie zamknął drzwiczki. Jego więzień przeniósł się tymczasem na jednego z królików. Z dwóch wiewiórek zostały tylko kosteczki. Odstawione od piersi wampiry mogą już jeść mięso i aż do okresu młodzieńczego stanowi ono podstawę ich diety; potem odżywiają się już niemal wyłącznie krwią, chociaż nie musi to wcale być tylko krew ludzka.

Klatka ta przez kilka lat miała być domem Clifforda M. Przetrwał do dziś wycinek z miejscowej gazety, noszącej datę o pięć lat późniejszą od znajdującej się na liście, w którym Dulcie po raz pierwszy wspomniała o "małpce Ossiego". Wycinek ów zawiera wzmiankę zatytułowaną "Dziwne zwierzę na farmie Fimberów"; o więźniu Ossiego wspomina się tam jako o "czymś w rodzaju małpy". Z lektury tekstu wynika jasno, że Clifford M. zaczął już w tym czasie tracić porastającą jego ciało sierść i że zamiast potężnych, dziecięcych zębów miał już normalne, na pierwszy rzut oka niczym się nie różniące od ludzkich. Na podstawie tych informacji możemy wnioskować, że liczył sobie wówczas około piętnastu lat. Zamieszczona w gazecie informacja o jego rozmiarach ("jest wzrostu pięcioletniego dziecka"), potwierdza te przypuszczenia.

Wkrótce po ukazaniu się tej wzmianki Clifford M. uciekł, odebrawszy życie pierwszej swej ofierze. Pewnego ranka ojciec Ossiego znalazł martwe, jakby wysuszone ciało swego syna leżące koło otwartej, pustej klatki. W tym momencie na okres ponad siedmiu lat Clifford M. znika nam z oczu, można się

jednak na podstawie wielu przesłanek domyślać, że prowadzi w tym czasie życie dzikiego zwierzęcia, kryjąc się w gęstych lasach porastających zbocza Appalachów, żywiąc się najróżniejszymi drobnymi istotami i od czasu do czasu - nie sposób, rzecz jasna, stwierdzić jak często - pijąc niezbędną mu do życia ludzką krew.

W roku 1906 ukazała się książka "Dziki chłopiec z okręgu Jihkson" (Nowy York, Thomas Colier's Sons), zaś w 1958, w tej samej firmie, jej drugie wydanie pod zmienionym tytułem: "Harry, amerykańskie dzikie dziecko". Książka, autorstwa wielbnego Llewellyna Crocketta, stanowi relację z procesu przywracania ludzkiemu społeczeństwu dziecka wychowanego albo przez dzikie zwierzęta, albo, co wydaje się równie prawdopodobne, przez nikogo w ogóle. Grupa myśliwych obozująca w lesie na jesieni 1898 roku schwyciła dzikiego chłopca w momencie, kiedy w środku nocy pochylał się nad jednym ze śpiących ludzi. Nikt nie mógł odgadnąć powodu, dla którego to uczynił, chociaż dla nas, rzecz jasna, jest on aż nadto oczywisty. Myśliwi musieli go związać, by uchronić się przed jego agresywnością, po czym zanieśli go do Lexington i przekazali władzom. Wielbny Mr. Crockett, proboszcz kościoła św. Marka, niegdyś nauczyciel, dostrzegł okazję zarówno wrócenia na łono ludzkiej i bożej społeczności zagubionej owieczki, jak i wypróbowania własnych teorii pedagogicznych. Nie miał żadnych kłopotów z przekonaniem władz, żeby te oddały mu chłopca pod opiekę. Według relacji Crocketta dziecko dysponowało wysoką wrodzoną inteligencją i bardzo szybko nauczyło się nie tylko nosić ubranie i chodzić w pozycji wyprostowanej, ale nawet mówić. Crockett nazwał chłopca imieniem Harry - nie wyjaśnił, dlaczego wybrał akurat to imię. Państwo Crockett byli bezdzietni, ale nie wydaje się, żeby kiedykolwiek pałali do Harry'ego specjalnie gorącym uczuciem. Wręcz przeciwnie nawet; nie trzeba być zbyt domyślnym, żeby z zawartych między wierszami informacji wywnioskować, że w gruncie rzeczy uważali obecność chłopca za istny dopust Boży. Spoglądając z perspektywy czasu możemy tylko podziwiać ich intuicję, oni jednak gryźli się bardzo tym, że w ich sercach panoszą się tak niechrześcijańskie uczucia.

Państwo Crockett szacowali wiek chłopca na dziesięć do jedenastu lat, w rzeczywistości jednak w chwili, kiedy do nich trafił, miał lat dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery, a więc około trzydziestu w momencie, kiedy znowu zniknął nam z oczu. W owym czasie ci dobrzy ludzie uważali, że ma osiemnaście lat, zaś w książce często napotkać można uwagi, że wyglądał nawet jeszcze młodziej. Siedmioletni pobyt u Crockettów dał mu bardzo dużo, wzięwszy oczywiście poprawkę na czas i miejsce. Po trzech latach Crockett oddał go do szkoły podstawowej, gdzie po kilku miesiącach uznano, że nic więcej nie można już chłopca nauczyć i przekazano go do szkoły średniej, którą z całą pewnością by skończył, gdyby na miesiąc przed końcem nauki nie zabił pani Crockett i nie uciekł. Nauczył się bardzo wiele również jeśli chodzi o maniery, sposób ubierania i zachowania, toteż każdy, kto go spotkał, skłonny był uznać go za miłego, godnego szacunku młodzieńca. Ci, którzy znali jego historię, uważali go jedynie za godnego uwagi dziwoląga; pogląd ten był nie tylko bliższy prawdzie, ale także, jak to wkrótce zobaczymy, jego własnemu widzeniu swojej osoby.

Pozostawił w Lexington kompletnie załamanego, starego człowieka i pozbawione zupełnie krwi zwłoki dobrej kobiety, która ze wszystkich sił starała się zastąpić mu matkę. Zabrał ze sobą swoje ubrania, dziewięćdziesiąt siedem dolarów ukradzionych z biurka wielbnego Llewellyna Crocketta oraz przekonanie, że pod wieloma względami bardzo, ale to bardzo od wszystkich się różni. A było tak dlatego, ponieważ nie wiedział, czym w istocie jest. Jego najwcześniejsze wspomnienia (jak wiemy z dziennika znajdującego się obecnie w posiadaniu doktora Burbanka), sięgały czasu, kiedy był zamknięty w klatce na farmie Fimberów, a i to były zaledwie niewyraźne, mgliste przebieżki. Nie pamiętał, że kiedyś był owłosiony niczym małpa i miał zęby jak rekin. Sądził, że jest zwyczajnym człowiekiem i dlatego właśnie uważał się za dziwoląga i nieudacznika. Kiedy osiągnął okres dojrzenia i zaobserwował zmiany w swoich genitaliach, był już zupełnie pewien, że jest z nim coś nie w porządku, a w dodatku po głowie zaczęły mu krążyć niezwykle, drapieżne myśli. Nastąpiło to jednak dopiero po kolejnych jedenastu latach. Możemy być tego całkowicie pewni, bowiem w roku 1916 Clifford M. ukończył studia na Harvardzie, co nie byłoby raczej możliwe, gdyby nie uczęszczał na zajęcia. Po osiągnięciu dojrzałości płciowej wampir zapada w ciągły dzień na śpiączkę, zaś zajęcia na uniwersytecie rzadko kiedy odbywają się w nocy. Tak więc Clifford M. stał się w pełni dojrzałym osobnikiem po czerwcu 1916 roku; jednocześnie zaczął w gwałtowny sposób odczuwać pewne potrzeby, wyraźniejsze nawet od pojawiającego się okresowego, kategorycznego imperatywu

nakazującego mu spożycie ludzkiej krwi, których to potrzeb w żaden sposób nie był w stanie zaspokoić. Był już pewien, że jest jakimś potworem i postanowił urządzić sobie życie w taki sposób, który pozwoliłby mu na choćby częściową realizację rodzących się w jego umyśle i ciele pragnień. Nie wiemy, co działo się z nim przez pięć lat po jego ucieczce z Lexington, oprócz tego, że udało mu się w jakiś sposób zdobyć sporo pieniędzy. Odnajdujemy go dopiero w roku 1910, kiedy to zapisał się do Corinthia College, małej, sekciarskiej uczelni w Fowler, stan Illinois. W dokumentach figuruje jako Clifford M. - według posiadanych przez nas informacji po raz pierwszy użył wówczas imienia, z którym nigdy się już nie rozstawał. Nie potrafił zbyt jasno przedstawić ani swego życiorysu, ani przebiegu dotychczasowej edukacji, ale ponieważ wszelkie opłaty uiszczał gotówką, nikomu nie zależało na przeprowadzeniu jakichś szczegółowych dochodzeń.

Jest oczywiste, że Corinthia College stanowił tylko środek do osiągnięcia celu; opuścił go po dwu latach, zabierając pisane niemal złotymi zgłoskami rekomendacje i dokumenty świadczące o znakomitym przebiegu studiów. Bez żadnych problemów został przyjęty na Harvard, który ukończył w roku 1916. Z okresem jego pobytu na Harvardzie wiąże się jedna zastanawiająca okoliczność. Jego przybycie na tę uczelnię zostało poprzedzone wieloma listami do dystyngowanych dam z Bostonu, listami, których nadawczynią była pani Gaines Sturdevant z Richmond, dama o rozległych koneksjach. Dzięki temu Clifford M. był zapraszany na najróżniejsze przyjęcia i spotkania w najelegantszych domach Bostonu, zupełnie, jakby od lat należał do tego środowiska. Nigdy się już nie dowiemy, w jaki sposób udało mu się nakłonić panią Sturdevant do napisania tych listów, ani nawet w jaki sposób się z nią zetknął, ale udało się odnaleźć dwa z nich. Te ich fragmenty, które nas interesują są dokładnie takie same i zawierają wielce romantyczne i oczywiście całkowicie nieprawdziwe szczegóły dotyczące pochodzenia i wykształcenia Clifforda M. Zdaje się, że okazały się one zupełnie wystarczające, by przekonać szacowne matki, iż Clifford M. byłby znakomitym kandydatem na męża dla ich córek. On jednak nigdy nie skorzystał z otwierających się przed nim możliwości.

Przerwiemy w tej chwili relację o jego losach, aby zastanowić się nad motywami, które kierowały jego postępowaniem. Dlaczego Harvard? Jakie plany rodziły się wówczas w jego umyśle? W świetle tego, co wiemy o jego późniejszym postępowaniu, możemy jednoznacznie stwierdzić, że chodziło mu wyłącznie o pozyskanie znajomości i zadzierzgnięcie stosunków, które mogły później dopomóc mu w zrobieniu fortuny. Natychmiast po ukończeniu studiów znalazł zatrudnienie jako makler w znanej firmie mającej swą siedzibę na Wall Street; oczywiście, gdyby nie rozległe znajomości, nie mógłby nawet o tym marzyć. Tam zajął się nim natychmiast jeden z udziałowców, ucząc go nieodzownych w tym zawodzie sztuczek i umiejętności wykorzystywania najróżniejszych kruczków w przepisach. Pracował w firmie przez dwa lata, by potem niespodziewanie złożyć rezygnację - już wówczas zdobył sobie w Nowym Jorku opinię ekscentryka. Możemy przypuszczać, że właśnie wtedy osiągnął wiek dojrzały, a tym samym równo ze wschodem słońca zapadał w niekontrolowaną śpiączkę. Z tego właśnie powodu wszelkie interesy załatwiał wyłącznie korespondencyjnie.

Mimo to udało mu się osiągnąć niemałe sukcesy i w roku 1922 był już posiadaczem znacznego majątku. Właśnie wtedy zrezygnował z posady i przeprowadził się do olbrzymiego, brzydkiego domu w górzystej części Pensylwanii, który odkupił od spadkobierców zmarłego potentata węglowego. Rozpoczął tam poszukiwania, które miał kontynuować bez przerwy przez następnych sześćdziesiąt lat.

Jest oczywiste, że w pewnym momencie, gdzieś między ukończeniem studiów na Harvardzie a rezygnacją z pracy, zaczął podejrzewać, kim jest naprawdę. Zapisy w kartotece księgarni Saltzmana w Greenwich Village, udostępnione nam przez pana Davida Saltzmana, potwierdzają fakt, że będący wówczas właścicielem księgarni ojciec pana Saltzmana utrzymywał z Cliffordem M. regularną korespondencję i że Clifford M. zlecił mu penetrację świata książki w poszukiwaniu wszelkich publikacji dotyczących wampiryzmu, wilkołactwa i innych, zbliżonych dziedzin okultyzmu. Dzięki lekturze tych dzieł Clifford M. mógł wreszcie wyjaśnić anomalie, które u siebie zaobserwował oraz tajemniczą historię swojego życia, jak również zaakceptować fakt, że nie jest człowiekiem, tylko jakimś zupełnie odmiennym od niego stworzeniem - najprawdopodobniej wampirem.

Przez pewien czas prowadził dziennik, odnotowując w nim wszystkie swoje poczynania, a także nieodmiennie zerowe skutki, jakie one odnosiły. Dziennik ten został odnaleziony przez dr-a E. M. Burbanka z Fundacji Grailingów i znajduje się w jego posiadaniu; dr Burbank udostępnia go wszystkim naukowcom prowadzącym badania z zakresu interesującej nas dziedziny. Z dziennika tego dowiadujemy się między innymi, że Clifford M. zaprenumerował wszystkie ukazujące się w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie czasopisma oraz że zatrudniał znaczną liczbę osób - najczęściej byli to emerytowani nauczyciele - które miały za zadanie dokładnie czytać te czasopisma i wycinać wszystkie notatki

dotyczące zagadkowych przypadków śmierci i zaginięć, którym towarzyszyły określone okoliczności. Nadzór nad tą pracą powierzył bystremu młodzieńcowi nazwiskiem Robertson, któremu wyznał w sekrecie, że wierzy w wampiry i wilkołaki (dla równowagi dodał jeszcze astrologię, teozofię i wegetarianizm) i że poszukuje dowodów na ich istnienie. Robertson, znając przedmiot poszukiwań, wyławiał z morza wycinków te, które wyglądały najbardziej obiecująco i wynajmował prywatnych detektywów, żeby ci przeprowadzali wstępne rozpoznanie interesujących przypadków. Również i on kontaktował się często z Saltzmanem; dzięki niemu wielu studentów znacznie zwiększyło swoje kieszonkowe, szperając w najróżniejszych bibliotekach w poszukiwaniu książek związanych z podanym im tematem.

Podczas pierwszych dziesięciu lat poszukiwań natrafiono na siedem przypadków, które Cliffordowi M. wydały się warte dokładniejszej analizy, ale wszystkie okazały się ostatecznie zwykłymi morderstwami, samobójstwami lub porwaniami. Dwadzieścia następnym lat było latami Wielkiego Kryzysu i II Wojny Światowej; wielkie masy ludzi przemieszczały się z miejsca na miejsce i liczba interesujących przypadków wzrosła znacznie, ale również bez żadnych rezultatów. Robertsonowi udało się tymczasem uzyskać dostęp do ogólnokrajowej policyjnej sieci informacyjnej, dzięki czemu liczba tajemniczych a rokujących nadzieję zdarzeń zwiększyła się jeszcze bardziej; mimo to żadne z prowadzonych szczegółowo śledztw nie zakończyło się połowicznym choćby sukcesem.

Clifford M. musiał wielokrotnie opierać się pokusie zaprzestania poszukiwań; nieomal udało mu się wyrobić w sobie przekonanie, że jego podejrzenia co do tego, iż jest wampirem, są niczym innym jak tylko lunatycznym złudzeniem. Codzienna utrata przytomności może przecież być jedynie objawem jakiejś choroby, dziwaczne narządy reprodukcyjne - pomyłką Natury, zaś okropna żądza krwi po prostu kryminalnym zbrojeniem. Nic z tego jednak: te i podobne myśli nie wytrzymały dokładniejszej krytyki. Przekonał się, że druga żądza, która nie dawała mu spokoju, niemal równie silna, jak żądza krwi, była po prostu seksualnym pożądaniem. Ale w stosunku do czego? Do kogo? Na pewno nie do żadnej z kobiet, które kiedykolwiek spotkał ani do żadnego mężczyzny, dziecka czy zwierzęcia. Był to pociąg skierowany w stronę samicy jego gatunku; musiał ją znaleźć. W przeciwnym razie życie prędzej czy później stałoby się dla niego nie do zniesienia.

Cytowane tutaj myśli Clifforda M. nie są niczym wymysłem; pochodzą z dziennika Burbanka, gdzie są zapisane pod datą 3 czerwca 1972 roku. Tak się akurat złożyło, że później dokonano w dzienniku już tylko jednego wpisu (7 sierpnia 1972). Należy się domyślać, że Clifford M. albo zaprzestał prowadzenie dziennika albo czynił to w jakiejś innej formie. Jeżeli tak istotnie było, to w dalszym ciągu nikomu nie udało się go do tej pory odnaleźć.

Korzystając z różnych źródeł możemy ze znaczną dozą prawdopodobieństwa odtworzyć życie Clifforda M. w owym czasie. Przede wszystkim musimy pamiętać, że codziennie od wschodu do zachodu słońca leżał pogrążony w głębokiej śpiączce, aktywne życie prowadząc wyłącznie w nocy. Jego przypominający zamek dom stał w odludnej okolicy, kilka mil od małego, zapomnianego przez wszystkich miasteczka, w którym znajdowało się biuro Robertsona. Domu nie sposób było dostrzec z żadnej drogi, zaś jedynym przybywającym do niego gościem był Robertson, zjawiający się ze swoim raportem raz na tydzień w godzinę po zachodzie słońca.

Robertson liczył już sobie ponad siedemdziesiąt lat, z których więcej niż pięćdziesiąt spędził pracując dla Clifforda M. Był znakomicie opłacany, ale z całą pewnością nieraz nachodziły go myśli dotyczące wartości życia spożytkowanego na zbieranie bezwartościowych informacji dla opętanej manią bogacza. Stał się prawdziwym specjalistą w oddzielaniu ziarna od plew, toteż z rzadka tylko miał do pokazania swemu chlebodawcy coś interesującego, ale jeżeli już uznał, że któryś z wycinków zasługuje na uwagę, to Clifford M. musiał przyznać, że tak jest w istocie. Jeżeli nasze obliczenia są prawidłowe, to w połowie lat siedemdziesiątych Clifford M. liczył sobie około stu lat. Postronnym obserwatorom jawił się jako szczupły, atletycznie zbudowany, przystojny mężczyzna w wieku mniej więcej trzydziestu pięciu lat, o bladej twarzy i kruczoczarnych włosach. Nosił nieco staromodne, drogie ubrania, które nigdy zbyt dobrze na nim nie leżały, bowiem sprowadzał je wyłącznie drogą pocztową.

Miał dwoje służących, wówczas już w podeszłym wieku, emigrantów z jakichś wiejskich okolic na Bałkanach. Para ta zdawała sobie doskonale sprawę z tego, kim w istocie jest ich chlebodawca; nie dziwiły ich ani jego dziwaczna dieta, ani nocny tryb życia. Za to, że z nikiem nie dzielili się tą wiedzą, byli oczywiście hojnie wynagradzani.

Clifford M. miał również zbudowany na specjalne zamówienie samochód, z zewnątrz niczym się nie różniący od wielu jeżdżących jeszcze po szosach, podstarzałych egzemplarzy, ale wyposażony w potężny

silnik i zdolny do pokonywania dużych odległości bez konieczności uzupełniania paliwa. Raz w miesiącu, a czasem nieco częściej, Clifford M. wyruszał nim wkrótce po zachodzie słońca, by powrócić tuż przed świtem, zaspokoiwszy swą krwawą żądzę. Był podczas swoich eskapad niezwykle ostrożny, nie zabierając nigdy żadnej ze swych ofiar tyle krwi, żeby spowodować jej śmierć, czy nawet niepokojące objawy, które mogłyby skłonić ją do udania się do lekarza. Jego tereny łowieckie miały kształt koła o promieniu mniej więcej stu mil, w którego środku znajdował się jego dom. Na przestrzeni lat przedsięwziął także sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt dłuższych podróży do najróżniejszych zakątków kraju (czterokrotnie odwiedził również Kanadę, a raz Meksyk), w celu sprawdzenia osobiście tych przypadków, których nawet po wnikliwym śledztwie nie udało się wyjaśnić w żaden racjonalny, oczywisty sposób. Eskapady te wymagały starannego przygotowania, polegającego między innymi na tym, aby zarówno podczas samej podróży, jak i u jej celu miał zawsze do dyspozycji jakieś pomieszczenie lub miejsce, w którym mógł spokojnie przespać cały dzień. Robertson przejmował wówczas rolę zwiadowcy, wynajmując na pewien czas samotne, stojące na uboczu domy. Para służących jechała razem z Cliffordem M., śpiąc na tylnym siedzeniu, kiedy on prowadził, w dzień zaś strzegąc jego bezpieczeństwa. Podczas żadnego z tych skomplikowanych safari nie udało mu się odnaleźć tego, czego szukał.

Sukcesem zakończyło się dopiero ostatnie z nich, w małym, leżącym w zachodniej części stanu miasteczku Sturkeyville, zaledwie dzień, a właściwie noc drogi od jego domu. Dzięki lekturze roczników miejscowego "Heralda" możemy ustalić niemal z całkowitą pewnością przebieg wydarzeń, które zwróciły uwagę najpierw Robertsona, a następnie samego Clifforda M.: rosnąca liczba nie wyjaśnionych zachorowań wśród miejscowej ludności, a następnie tajemnicze przypadki zgonów i zaginięć. Robertson, jak zwykle, ruszył przodem i wynajął opuszczony dom. Wkrótce potem zjawił się tam Clifford M. ze swymi służącymi.

Musimy teraz pozostawić na moment Clifforda M. jego własnemu losowi i zająć się sytuacją, jaka wówczas panowała w Sturkeyville. Nie jesteśmy tutaj zdani wyłącznie na nasze własne domysły, bowiem dysponujemy relacjami trzech głównych uczestników wydarzeń, które nastąpiły po zakończeniu uwiecznionych sukcesem poszukiwań Clifforda M. Są to Blanche Tolliver, Edmund Hodge i Frank Polder - w kolejności: lekarka, fabrykant i dyrektor East High School. Blanche Tolliver przejęła w roku 1958 praktykę po swoim ojcu i do tego czasu nieprzerwanie służyła pacjentom miasteczka, przyjmując wezwania o każdej porze dnia i nocy, znając dokładnie każdego z chorych i nigdy nie przypominając o nie zapłaconych honorariach. Od dwudziestu lat była kochanką Edmunda Hodge'a; nie mogli się pobrać, ponieważ żona Hodge'a już od ćwierć wieku przebywała w zakładzie dla psychicznie chorych. Sam Hodge był jednym z właścicieli Odlewni Braci Hodge, największego zakładu przemysłowego miasteczka, Frank Polder zaś jego kuzynem. Cała trójka znała się i przyjaźniła od dziecka. Zaangażowali się w sprawę Clifforda M. z powodu Blanche, która, badając pacjentów z najdalszych nawet zakątków okręgu, doszła do wniosku, że pojawia się wśród nich nowa choroba, charakteryzująca się objawami świadczącymi o znacznej utracie krwi, które to objawy stwierdzała jednak u osób nie posiadających ani żadnych ran zewnętrznych, ani nie skarżących się na jakiegokolwiek krwawienie wewnętrzne. Wkrótce potem na gardle jednego z pacjentów znalazła dziwne, przypominające ukłucie ślady, a kilka centymetrów poniżej niemal identyczny zestaw. Potem szukała tych śladów - i znajdowała je - zawsze tam, gdzie stwierdzała podobne objawy, odszukała również wcześniejszych pacjentów, którzy, jak się okazało, również mieli identyczne ślady, tyle tylko, że ranki te dawno już im się zagoiły. Od wielu lat miała zwyczaj omawiania wyników swej pracy z Hodgem; tym razem uznał on jej relację za tak interesującą, że powtórzył ją Polderowi, który zareagował dokładnie tak, jak wcześniej oni obydwój: "Dracula!" - zawołał, wywołując wybuch śmiechu.

Pojawiały się jednak coraz to nowe przypadki, wkrótce potem zaś umarła kobieta, a później dwoje dzieci. Badanie anatomo-patologiczne potwierdziło, że kobieta utraciła olbrzymią ilość krwi. Pewnego wieczoru trójka przyjaciół omawiała podczas kolacji to wydarzenie i żart Poldera żadnemu z nich nie wydawał się już tak bardzo śmieszny. Postanowili, że Polder, który akurat wtedy dysponował wolnym czasem (był to lipiec, a więc środek wakacji), poświęci tydzień lub dwa na zbieranie informacji od pacjentów Blanche, w celu ustalenia ewentualnych niezwykłych wydarzeń, które poprzedzały ich zachorowanie.

Kiedy po dwóch tygodniach spotkali się ponownie, Polder powiedział:

- Ktoś rzeczywiście pił ich krew. Prawie połowa ludzi pamięta niejasno coś w tym rodzaju - tak niejasno, że wszyscy są przekonani, że to tylko sen. Ale przecież dwadzieścia trzy osoby nie mogły mieć dokładnie takiego samego snu, w którym występowałyby takie same postaci. Szukamy mężczyzny i kobiety, albo dwóch mężczyzn i kobiety. Nikt nie może sobie dokładnie tego przypomnieć, ale wszystkim wydaje się, że byli strasznie brudni i obdarci: mężczyzna w niechlujnym, utyłanym w czymś płaszczu, czarnym kapeluszu i drewniakach, drugi ubrany w taki sam strój i kobieta w zeszmaczonej, bawełnianej sukience i czerwonych pończochach. Wszystkie opisy były niemal dokładnie takie same i połowa ludzi, z którymi rozmawiałem nazywała ich "ludźmi z gór" albo "leśnymi ludźmi". Sądzę, że powinniśmy zawiadomić policję.

- Też tak uważam - odparł Hodge - ale trudno będzie o cokolwiek ich oskarżyć, skoro ofiary sądzą, że wszystko im się śniło, a rany dawno już się zagoiły. Ale, oczywiście, należy ich powstrzymać. Mimo wszystko lepiej wiedzieć, że to tylko jacyś wariaci albo zbrodniecy niż zacząć wierzyć w wampiry.

- Ja chyba już w nie wierzę - powiedziała powoli Blanche. - Uważam, że to właśnie wampiry.

- Przecież słyszałaś, jak wyglądają.

- A dlaczego wampiry nie miałyby tak właśnie wyglądać? Czy możesz mi powiedzieć, jak wygląda wampir? Dlaczego nie właśnie tak, jak "leśny człowiek"? Jeżeli w historiach o wampirach jest choć odrobina prawdy, to chronią się upodabniając się maksymalnie do ludzi. I żyją bardzo długo. Wyobraźcie sobie wampira, który ma, powiedzmy, dwieście lat i żyje gdzieś w górach. Jak, według was, miałby się zachowywać i wyglądać? Jak "człowiek z gór", rzecz jasna. Czy wampir musi wyglądać jak Bela Lugosi? Czy wampir z Appalachów nosiłby strój wieczorowy?

Mężczyźni zastanowili się nad tym, a po chwili Polder powiedział:

- Chyba masz rację. Ci ludzie, kiedy opowiadali o swoich snach, przeczuwali, że mają do czynienia z czymś znacznie bardziej potwornym niż zwykły, żądny krwi szaleniec, z czymś, czego nie byli w stanie wyrazić. Tyle tylko, że to był tylko sen.

- Gdyby zaatakowali ich jacyś wariaci, z całą pewnością by to pamiętali - wtrąciła Blanche.

- W porządku więc; przyjmijmy, że to wampiry - odezwał się Hodge. - Co zrobimy?

- Zawiadomimy policję - powiedział Polder i zaraz dodał: - Po czym od razu zamkną nas w szpitalu dla umysłowo chorych.

- Otóż to - skinęła głową Blanche. - A dlaczego nie mielibyśmy spróbować sami ich wysledzić i złapać na gorącym uczynku?

- Właśnie, czemu by nie? - podjął Hodge. - Jest to najprawdopodobniej dosyć niebezpieczne, nie mamy najmniejszego pojęcia, jak się za to zabrać, a wreszcie na pewno okaże się, że to po prostu jacyś psychopatyczni mordercy. Jasne, dlaczego by nie.

Rozpoczęli pracę od naniesienia na mapę dat i miejsc przypadków ujawnionych przez Blanche i współpracujących z nią lekarzy, po czym Polder udał się do tych miejsc i przeprowadził kilkadziesiąt dodatkowych rozmów, w wyniku których odkrył jeszcze kilka osób, które nigdy nie zgłosiły się do lekarza, a które cierpiały jakiś czas temu na interesujące trójkę badaczy dolegliwości. W sumie mieli do czynienia z siedemdziesięcioma ośmioma przypadkami znacznego ubytku krwi, które wydarzyły się w ciągu trzynastu miesięcy. Uznając właśnie miesiące za podstawowe kryterium kwalifikacyjne, połączyli liniami te punkty na mapie, które oznaczały zachorowania w danym miesiącu; otrzymali obraz przypominający bardzo topograficzny rysunek symetrycznej, wysokiej góry.

- Niemal dokładnie koncentryczne okręgi - zauważył Hodge. - Najmniejszy pochodzi z ubiegłego maja. To najwcześniejszy.

- Może to oznaczać, że zaczęli w pobliżu swojej kryjówki, stopniowo coraz bardziej się od niej oddalając - powiedziała Blanche.

- To nie ma żadnego sensu - wzruszył ramionami Hodge. - Sądziłem, że te istoty żyją praktycznie wiecznie. Dlaczego miałyby zacząć napadać na ludzi akurat trzynaście miesięcy temu? Co robiły do tej pory?

- Może właśnie wtedy się tutaj zjawiły. Przypuszczam, że mogą przenosić się z miejsca na miejsce tak samo, jak ludzie.

- Może. Gdzie znajduje się ta "kryjówka"?

- Stary Zajazd na skrzyżowaniu trzech górskich dróg. Kiedyś urzędował tam kowal i był prawdziwy, świetnie prosperujący sklep, ale teraz to już tylko na wpół zrujnowane, opuszczone budynki. Jakaś milę stamtąd znajdują się trzy lub cztery również nie zamieszkałe domy, z których w całości stoi już tylko

jeden, brakuje mu jedynie dachu.

- Sceneria w sam raz - mruknęła Blanche. - I co teraz?

- Jak to, co? Musimy je odnaleźć i...

- Właśnie. Co zrobimy, kiedy już je odnajdziemy?

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę przerwała Blanche.

- To chyba oczywiste. Jeżeli okażą się tym, o czym myślimy, to potraktujemy je drewnianym kołkiem.

- A jeżeli nie?

- Cóż, wtedy będzie kłopot. Nie sądzę, żebyśmy dali sobie radę z trzema maniakalnymi mordercami.

- Jeżeli uda nam się zobaczyć ich za dnia, będziemy wiedzieli, że to tylko szaleńcy i po prostu zawiadomimy szeryfa - powiedział Hodge. - A teraz musimy zastanowić się, co i w jaki sposób musimy zrobić.

Dyskutowali nad tym do późnej nocy, nie mogąc dojść do porozumienia, zaś następnego wieczoru u Blanche zjawiał się Clifford M.; była zafascynowana tym, co miał jej do powiedzenia. Zaraz zawiadomiła swoich dwóch przyjaciół i jeszcze przed świtem ustalili, co trzeba zrobić. Clifford M. zachowywał się niezwykle uprzejmie, przekonywająco i zdecydowanie zarazem. Starał się wyrzec na swoich rozmówcach wrażenie, że jest zamożnym człowiekiem o wysokiej inteligencji i wykształceniu, żywiącym może nieco ekscentryczne przekonanie o tym, że wampiry naprawdę istnieją i przeznaczającym swój czas i pieniądze na łowy na nie. Ponieważ oni również zaczęli już być o tym przekonani, powitali z radością ofertę współpracy. Clifford M. przedstawił im ze szczegółami zasady funkcjonowania swego biura wycinków prasowych i kryteria, na podstawie których klasyfikował zebrane w ten sposób informacje oraz opowiedział, w jaki sposób metoda ta zaprowadziła go do Blanche. Wyraził nadzieję, że pozwolą mu przyłączyć się do poszukiwań. Odkrycie i zlikwidowanie tych nieludzkich stworzeń uwolni ludzkość od ohydnej zmyry, a oprócz tego potwierdzi jego przeczucia i pokaże całemu światu, że nie były to jedynie majaczenia i kaprysy człowieka, który nie wiedział, co robić z czasem i pieniędzmi.

Powiedział, że on sam prowadzi raczej nocny tryb życia, że zajmuje się wampiryzmem już od wielu lat i że dysponuje znakomitym teleskopem, toteż może się podjąć prowadzenia nocnych obserwacji terenu, który w tak znakomity sposób udało im się ustalić, zaś dwaj pozostali mężczyźni, będący zapalonymi myśliwymi i przebywający z racji tego często poza domem, mogą uzbroić się i przeczesać okolice za dnia. Wszyscy zgodzili się, że jest to bardzo rozsądna propozycja.

Od tej chwili w relacji tej obok w pełni udokumentowanych faktów zaczynają pojawiać się również takie, których autentyczność nie zawsze jest pewna. Wszystkie one jednak opierają się na całkowicie wiarygodnych przesłankach, zaś jeżeli nawet nie w pełni odpowiadają rzeczywistym wydarzeniom, to z całą pewnością oddają ich ogólny przebieg i nastrój.

Bez najmniejszych wątpliwości możemy stwierdzić, co następuje: przez trzy dni Hodge i Polder, ubrani w czerwone czapki i kurtki oraz wyposażeni w broń myśliwską przeczesać okolice Starego Zajazdu, ale bez powodzenia. Co wieczór po powrocie z "polowania" spotykali się z Blanche i Cliffordem M. (jak do tej pory, nikt z nich nie zwrócił uwagi na dziwną okoliczność, że widywali go wyłącznie po zachodzie słońca), i składali relację z bezowocnych poszukiwań. Następnie Clifford M. informował o rezultatach - także zerowych - swego nocnego czuwania, po czym myśliwi udawali się na zasłużony odpoczynek, zaś Clifford M. (tak przynajmniej wszyscy przypuszczali), wracał do swej samotni, by wypatrywać wampiry przez swój teleskop.

Trzeciego wieczoru Clifford M. nie stawił się na spotkanie, toteż rano Hodge i Polder udali się do domu, który wynajmował. Dom był pusty, zniknął także samochód Clifforda M., ale do drzwi przybita była koperta zaadresowana do dr Tolliver. Zanieśli ją natychmiast do Blanche, która otworzyła ją i przeczytała krótką informację:

Gnieźdzą się pod ruinami Starego Zajazdu; jest ich czworo, nie troje. Weźcie kołki.

Z treści innego listu napisanego do Blanche przez Clifforda M., a dostarczonego adresatce przez Robertsona po zakończeniu całej historii, możemy się dowiedzieć, co w rzeczywistości w te ciepłe, lipcowe noce robił Clifford M. Jego relacja stanowi jednak zaledwie szkielec, który niniejsze sprawozdanie postara się przyoblec w ciało.

Czytelnik we własnym zakresie powinien od czasu do czasu dodać do niego takie sformułowania jak: "Możemy przypuszczać, że..." lub "Należy przyjąć, iż...".

Nie ma żadnych wątpliwości co do tego, że wysiłki Tolliver, Hodge'a i Poldera stanowiły dla Clifforda

M. olbrzymią pomoc i oszczędziły mu masę czasu. Troje badaczy ustaliło obszar poszukiwań z taką dokładnością, że jego łowy zostały uwieńczone sukcesem już pierwszej nocy, kiedy wybrał się do Starego Zajazdu. Zostawił samochód kilka mil od skrzyżowania i resztę drogi przebył na piechotę. Był przekonany o tym, że potrafi zamienić się w nietoperza, ale nie wiedział, jak to zrobić; prawdopodobnie technika dokonywania takich transformacji była jedną z rzeczy, których młode wampiry uczyły się podczas przebywania w rodzinnym gnieździe, on zaś nie miał kiedy ani od kogo tego się nauczyć. Szedł więc piaszczystą drogą wciągając badawczo w płuca powietrze. Nie był pewien, czy uda mu się rozpoznać wampiry podczas bezpośredniego spotkania, ale miał nadzieję, że drzemie w nim jakiś instynkt, który mu to umożliwi; niewykluczone, że najbardziej pomocny może mu się przy tym okazać zmysł powonienia.

Nie mylił się. Kiedy niespodziewany podmuch wiatru przyniósł ze sobą ten zapach, Clifford M. wiedział już, że jego długoletnie poszukiwania zostały uwieńczone sukcesem. Jedyne zaskoczenie stanowił właśnie sam zapach, a raczej potworny, trudny do wyobrażenia smród, tak niesamowity, że po raz pierwszy w swoim stuletnim życiu Clifford M. doświadczył uczucia mdłości. Był to smród gnijącego mięsa, starego mułu i rozkładu, odchodów i nieczystości, jednym słowem - autentyczny odór zła. Jego ciało przebiegł dreszcz odrazy i strachu; czy rzeczywiście był jednym z nich?

Skręcił z drogi i ruszył w kierunku źródła zapachu. Wkrótce zobaczył ich: trzy blade twarze w księżycowym cieniu rzucanym przez stary, kamienny mur. One także go rozpoznały, bowiem nie zaatakowały go ani nie rzuciły się do ucieczki. Przypisywanie ludzkich uczuć wampirowi jest być może uleganiem skłonności do patetycznego fantazjowania, ale możemy przyjąć, że do tej pory Clifford M. odczuwał jedynie swego rodzaju onieśmienie i niepewność. Kiedy podszedł bliżej, opanowało go bez reszty niepohamowane obrzydzenie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że patrzy na nie oczami uwarunkowanymi ludzkimi standardami i ideami, i że właściwie powinien oceniać je z innego punktu widzenia, ale po prostu nie mógł. Wampiry były brudne, niesamowicie brudne, oblepione obrzydliwym, wieloletnim osadem. Poszarpane ubrania przesiąknięte były starą, zakrzepłą krwią, blada skóra poznaczona ciemnymi, brudnymi smugami, włosy pozlepiane grudkami ziemi i błota, długie paznokcie zupełnie czarne i zakrzywione niczym szpony.

Pierwszy odezwał się jeden z samców. Clifford M. nie rozumiał ani słowa; nie przypominało to żadnego z języków, z jakimi miał okazję się zetknąć.

- Nie rozumiem - powiedział. - Mówicie po angielsku?

- Jasne. Ty kto? Czemu nie gadasz po? - kolejne niezrozumiałe słowo.

- Wychowałem się wśród ludzi - odparł Clifford M. - Nigdy nie słyszałem tego języka.

- Gdzie reszta?

- Nie ma żadnej reszty. Jestem sam. Dlatego właśnie chciałem was odnaleźć.

Zapadła cisza. Straszdyła spojrzały po sobie, a potem na niego. Przyćmione, otepiały umysły usiłowały przyswoić coś zupełnie nowego. Wreszcie samiec zapytał:

- Nie ma więcej?

- Nie.

- My też nie wiemy o innych. Długo szukamy, ale nie ma. Chyba już tylko my są.

To był dla niego mocny cios. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo zależało mu na odnalezieniu jakiejś żyjącej w ukryciu społeczności i... i samicy, oczywiście, a także na towarzystwie istot takich, jak on sam. Ale te... te...

- Jadłeś? - zapytał samiec.

- Nie. Dzisiaj jeszcze nie.

- To chodź. Oni pójną na północ, my dwa na południe.

Zafalowały olbrzymie, nietoperze skrzydła i drugi samiec wraz z samicą zniknęli tak, jakby ich nigdy nie było.

- Nie potrafię tego zrobić - powiedział Clifford M. - Nie wiem jak. Poczekam tutaj. Jadłem wczoraj.

Wrócili, najedzeni, godzinę przed świtem.

- Dziura jest duża, akurat dla nas. Masz swoją?

- Tak - odparł Clifford M. - Chyba już pójnę.

- Chcesz raz, zanim pójdziesz? - zapytała samica, zadzierając pod szyję obrzydliwie brudną, podartą spódnicę.

A więc to było właśnie to: obiekt długoletnich poszukiwań. Spojrzał na jej pokryte warstwą brudu ciało, poczuł jej zapach i nagle kłębiące się w nim od sześćdziesięciu lat pożądanie zamieniło się w gwałtowną

odrazę.

- Nie - odpowiedział. - Nie dzisiaj.

Szczeknęła coś w tym dziwnym języku; jeden z samców chrząknął, odwrócił się i zniknął w otwierającej się w załomie ściany ciemności, podczas gdy drugi pokrył ją błyskawicznie. Kopulowali przez kilkanaście sekund jak zwierzęta, bez najmniejszego choćby śladu czułości czy emocjonalnego zaangażowania, po czym podnieśli się i poszli w ślady pierwszego samca, nie odzywając się do Clifforda M. ani słowem. On sam odszedł w kierunku swego samochodu.

Następną noc wyruszył na polowanie, które udało mu się zakończyć sukcesem jeszcze przed północą, po czym wrócił do kryjówki wampirów, by zastać je siedzące bez ruchu pod zrujnowaną częściowo ścianą. Wczorajszy posiłek miał im starczyć na wiele, wiele dni. Mógł teraz z nimi porozmawiać i dowiedzieć się wszystkiego zarówno o nich, jak i o sobie.

- Jak się nazywacie? - zapytał.

Przez chwilę panowała cisza. Po pewnym czasie odezwała się samica.

- Nazywamy...

- Tak, jak się nazywacie.

Znowu cisza. A potem jeden z samców:

- Nie pamiętam. Nieważne.

I drugi samiec:

- Nieważne.

Clifford M. postanowił spróbować jeszcze raz.

- Ile macie lat?

Milczenie. Wreszcie:

- Dużo.

- Ale jak dużo?

- Nie pamiętam.

- A jaką najdawniejszą rzecz możecie sobie przypomnieć?

Długie, bardzo długie milczenie. Przerwała je samica:

- To dziecko, co telefon go obudził. Musiałam zwiawać.

- Czasem się budzą - dodał jeden z samców.

- Nie pamiętacie nic z tego, co wydarzyło się wcześniej? Kiedy jeszcze nie było telefonów. Na przykład jakiejś wojny, albo kto akurat był prezydentem?

- Chyba nie. Chyba nie bardzo wiem, co chcesz.

Spróbował innego podejścia.

- Od jak dawna tutaj śpicie?

- Niedawno.

- Skąd przyszliście? Dlaczego przenieśliście się akurat w to miejsce?

Nie bardzo potrafili dać sobie radę z jednym, prostym pytaniem, a co dopiero z dwoma. Żadne nie próbowało nawet odpowiedzieć.

- Czy mieszkaliście kiedyś w prawdziwym domu, zamiast w tej dziurze? - ciągnął uparcie.

Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak wyglądają pograżeni w dziennej śpiączce, skuleni w wilgotnej, ciemnej norze.

- Mieliśmy stół z obrusem i naczyniami, i prawdziwymi świecami - odezwała się niespodziewanie samica.

- Mów dalej - zachęcił ją Clifford M.

Ale był to tylko jeden, krótki przeblysłk pamięci. Kiedy milczenie przeciągało się, próbował im pomóc.

- Gdzie jeszcze mieszkaliście?

- W jaskini - odparł samiec.

- Aha. W jaskini - potwierdziła samica.

- Pamiętacie, gdzie to było?

Żadnej odpowiedzi.

- Może było tam w pobliżu jakieś miasto?

- Caseboro - powiedział jeden z samców, jak zwykle, po chwili milczenia. - Chyba Caseboro.

Clifford M. znał to miasteczko; leżało na granicy lasów, w których żył kiedyś jako dzikie dziecko.

- Mieliście kiedyś dzieci?

- Zabili! - krzyknęła przeraźliwie samica. - Zabili je!

- No - powtórzył samiec. - Zabili.

- Kto? Kiedy?

- Eee, spaliśmy. Oni je zabili. Znaleźliśmy. Może jeden uciekł. Nie wiemy. Poszliśmy do nowej dziury. Cliffordowi M. zaświtało wówczas podejrzenie, że te wstrętne istoty są nie tylko jego pobratymcami, ale całkiem możliwe, że także jego rodzicami. Uświadomił sobie jednocześnie, że wraz z upływem wieków będzie się coraz bardziej do nich upodabniał, aż wreszcie niemal nieśmiertelne ciało przeżyje starzejący się umysł i stanie się taki sam, jak oni, przesypany dnie w jakiejś wilgotnej norze, nocami polujący na ludzi, a po krwawym posiłku czekający w otepieniu na wschód słońca, które zagoni go z powrotem do kryjówki.

- Muszę już iść - rzekł nagle. - Wrócę jutro.

Nikt mu nie odpowiedział.

Około dziesiątej rano Blanche, Hodge i Polder przybyli do ruin Starego Zajazdu, przygotowani do zniszczenia wampirów. Mieli ze sobą łopaty, bosaki, silne latarnie, osiem naostrzonych, drewnianych kołków, najróżniejsze młotki, kilka egzemplarzy Biblii, czosnek, rewolwery i strzelby. Cały ten ekwipunek znajdował się w półciężarówce Hodge'a, który podjechał samochodem aż pod samą ścianę zrujnowanego budynku.

- Gdzie zaczynamy? - zapytał.

- Od wnętrza - odpowiedziała Blanche.

- Tylko ostrożnie, żeby nie wpaść przez strop do piwnicy - poradził Polder.

Weszli przez szczelinę w murze. W środku znajdowało się rumowisko połamanych belek stropowych, gruzu i przegniłych desek, porośnięte splątana gęstwina najróżniejszych roślin. Tu i ówdzie błyszczały kałuże brązowej wody; w powietrzu unosiło się brzęczenie much.

- Dobry Boże - jęknął Polder. - Od czego tu zacząć?

- Chyba gdzieś przy ścianie - powiedziała z namysłem Blanche. - Muszą być tam, gdzie nigdy nie dochodzi słońce. Rozejrzyjcie się, czy nie ma tam jakiegoś otworu. Tylko ostrożnie!

Po pięciu minutach Hodge znalazł to, czego szukali: mniej więcej dwustopowej średnicy dziurę w ziemi, przykrytą starannie fragmentami desek i gałęziami.

- I co teraz?

- Musimy oczyścić teren, żeby mieć swobodny dostęp.

Zabrali się do pracy.

- Powinno wystarczyć - powiedział Hodge po pewnym czasie. - Dajcie mi latarkę.

Zaświecił w głąb ciemnego tunelu i momentalnie odskoczył jak oparzony.

- Jeden jest tuż przy wyjściu - wyszeptał. - Najwyżej jard ode mnie.

- No to wyciągnij go.

- Chyba nie rękami. Dajcie mi bosak; leży głową do wyjścia, więc powinno mi się udać zahaczyć go za ramię. Blanche, potrzymaj latarkę.

Ciało bez żadnych kłopotów dało się wyciągnąć z tunelu i przetoczyło się kilka stóp po oczyszczonym z roślinności klepisku.

- Clifford M.! - zawołała Blanche. - To Clifford M.!

- Po jego liście należało się tego spodziewać - zauważył Hodge. - Napisał, że są cztery, nie trzy.

Właściwie to...

W tym momencie z ziejącej u ich stóp jamy buchnął potworny smród; Hodge przerwał w pół zdania, bowiem chwyciły go torsje, podobnie jak Poldera. Blanche z racji swego zawodu była przyzwyczajona do najróżniejszych zapachów, ale nawet ona zbladła jak ściana.

- Boże! - wystękał z trudem Hodge. - W życiu nie czułem czegoś takiego!

- To wampiry - powiedziała Blanche. - Bierzemy się do roboty. Im wcześniej... Mój Boże, spójrzcie na niego!

W blasku słońca dłonie i twarz Clifforda M. błyskawicznie pokryły się puchnącymi szybko bąblami.

- Przykryjcie go - poleciła Blanche. - I tak go zaraz... zabijemy. Możemy mu tego oszczędzić.

Polder przyniósł z samochodu brezentową płachtę i nakrył nią leżące na ziemi ciało.

- Jak dobierzemy się do pozostałych? - zapytał.

- Będziemy musieli kopać - powiedział Hodge - chyba że ktoś chce wczołgać się do środka tym tunelem.

- Kopmy więc.

Kiedy wreszcie odślonili całą kryjówkę, dochodziła już czwarta po południu. Upał był ogromny, a smród wręcz nie do zniesienia; nastroje trójki poszukiwaczy trudno było nazwać radosnymi. Jako pierwsza przebiła strop niewielkiej komory łopata Poldera - we wnętrzu, zwinięte w brudną, ciasną kulę, leżały trzy

wampiry. W swojej kryjówce znajdowały się poza zasięgiem promieni słońca, ale gdy tylko wyciągnęli je na powierzchnię, ich skóra pokryła się obrzydliwymi bąblami.

- Frank, przynieś kołki - rzucił ochryłym ze zmęczenia głosem Hodge. - Ja wezmę młotki. Bez słowa każdy wziął do jednej ręki naostrzony, drewniany kołek, a do drugiej młotek. Ułożyli cztery ciała na plecach, mniej więcej jard jedno od drugiego. Blanche uklękła nad samicą, mężczyźni nad samcami, przyłożyli im kołki do piersi i uderzyli jednocześnie, jakby na umówiony sygnał. Z ust wampirów wydobył się ohydny, przeraźliwy skrzek, tak nieludzki, że w jednej chwili zniknęły wszystkie opory i wyrzuty sumienia, jakie jeszcze mogli mieć. Uderzali raz za razem, aż wreszcie ciała zostały przeszyte na wylot, po czym wstali i cofnęli się o kilka jardów, by przyjrzeć się temu, co uczynili i co zaraz potem nastąpiło.

Był to błyskawiczny rozkład, postępujący dokładnie według wszelkich opisów spotykanych w specjalistycznej literaturze: najpierw czerwone, wilgotne rozkwitnięcie ciała, następnie wysuszenie, skurczenie, odpadnięcie od kości, a wreszcie zmurszenie i rozpadnięcie się w proch samych szkieletów. Wystarczyło niewiele minut, by z trzech ciał pozostało jedynie kilka brudnych, śmierdzących szmat. Polder i Hodge zgarnęli je łopatami na jedno miejsce i przysypali warstwą ziemi. Tymczasem Blanche stanęła nad ciałem Clifforda M., spoglądając w zamyśleniu na przykryty brezentową płachtą kształt.

- Czy możemy być zupełnie pewni? - zapytała, gdy dwaj mężczyźni zbliżyli się do niej. Hodge uniósł nieco płachtę; nawet ta niewielka ilość światła, jaka przesączała się przez materiał poczyniła na twarzy Clifforda M. olbrzymie spustoszenia. Przegniłe mięso wyschło i stwardniało, miejscami odpadły całe kawały skóry, odsłaniając puchnące, czerwone bąble. Wydawało się, że patrzą na kawał zmurszałej, popękanej ze starości kory.

- A jak myślisz? - zwrócił się do niej Hodge.

- Że chyba tak - odpowiedziała.

Kiedy drewniany kołek wbił się w jego serce, Clifford M. wydał ten sam, okropny skrzek, ale jego ciało nie rozpadło się w proch, jak pozostałe.

- Czyżbyśmy się pomylili? - wyszeptał Polder. - Czyżby jednak był... był...

- Człowiekiem? - dokończyła Blanche. - Na pewno nie. Zobacz, co z jego twarzą zrobiło słońce. Tamci rozpadli się w proch po prostu dlatego, że byli bardzo starzy. Ten musiał być znacznie młodszy. Może nawet tak młody, na jakiego wyglądał. Ale z całą pewnością był jednym z nich, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie rozumiem tylko, dlaczego to zrobił... Można powiedzieć, że popełnił samobójstwo. I dlatego ubrał się przedtem w smoking. Cóż, myślę, że możemy go już pochować.

Dwa dni później Robertson przyniósł zaadresowany do dr Tolliver list. Pozostaje on do dzisiaj w jej posiadaniu, zaś piszący te słowa miał okazję zobaczyć go na własne oczy i otrzymał pozwolenie na przytoczenie obszernych jego fragmentów. Waga tego dokumentu polega na tym, że jest to jedyne autentyczne, osobiste wyznanie wampira, o jakim nam wiadomo. Clifford M. nie był, rzecz jasna, zwyczajnym wampirem; gdybyśmy dysponowali podobnymi zwierzeniami typowego przedstawiciela tego gatunku, wartość ich byłaby wręcz nieoszacowana.

Jeszcze tego samego wieczoru Blanche Tolliver przeczytała list Polderowi i Hodge'owi. Niestety, niewiele możemy się z niego dowiedzieć o codziennym (czy raczej: conocnym) życiu Clifforda M. czy też o historii jego życia, którą, co mam nadzieję jest już w tej chwili jasne, musieliśmy odtwarzać krok po kroku na podstawie najróżniejszych źródeł i która wciąż jeszcze zawiera zdecydowanie zbyt dużo zagadkowych, białych plam. List ten jednak jest niezmiernie ważny dlatego, że wyjaśnia nam, co skłoniło Clifforda M., według wszelkiego prawdopodobieństwa ostatniego wampira w Stanach Zjednoczonych, do zaaranżowania swojej własnej śmierci.

A oto, co pisze na ten temat:

Spotkanie, do którego dążyłem przez tak wiele lat, spotkanie, w wyniku którego, jak wierzyłem, zyskam zarówno wiedzę na temat mojej osoby, jak i towarzystwo podobnych mi stworzeń - udowodniło jedynie w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości, że jestem zupełnie sam, że - przynajmniej pod względem psychicznym - nie jestem ani wampirem, ani człowiekiem, a tym samym nie mam żadnej nadziei na to, by kiedykolwiek i gdziekolwiek znaleźć spokój i ukojenie. Urodziłem się jako istota zupełnie różna od człowieka i taką też pozostałem, ale wychowano mnie jako człowieka i w moich myślach i sposobie postrzegania świata jestem właśnie człowiekiem. Tragedia moja polega na tym, że przestając być jednym, nie stałem się jednocześnie drugim.

Chciałbym być człowiekiem. Dopóki nie spotkałem tych załosnych istot sądziłem, że moi pobratymcy są wszyscy dystygowanymi, szacownymi ludźmi o pewnych niezwykłych, nocnych zwyczajach i dość szczególnej diecie. Okazało się to jednak nieprawdą. Spotkałem potwory i fakt ten uświadomił mi z całą mocą moje absolutne wyalienowanie. Nie potrafiłbym żyć wśród tych stworzeń; wolałbym raczej przyłączyć się do stada hien. Mimo to wiem, że jestem jednym z nich i że kiedyś stałbym się dokładnie taki sam, jak oni.

Postanowiłem więc zakończyć to tutaj i teraz. Jeżeli czytacie te słowa, znaczy to, że stało się to, co miało się stać i że uwolniliście świat od niebezpiecznych, odrażających pasożytów. Myślę o trojgu moich... kolegów, ja bowiem nie jestem jeszcze niebezpieczny, ani - mam nadzieję - odrażający. Z pewnością jednak, prędzej czy później, przyszłaby i moja kolej. Za jakiś czas - może za dwieście, a może za trzysta lat - umysł zacząłby odmawiać mi posłuszeństwa, zaś ciało żyłoby dalej, z każdym rokiem stając się coraz bardziej wstrętnym i obrzydliwym.

Zdecydowanie wolę ten koniec, jaki sam sobie przygotowałem. Założę najlepszy strój wizytowy (wspomnienie po latach studenckich, kiedy mogłem jeszcze odwiedzać krawca, by ten wziął dokładną miarę), pójdę do Starego Zajazdu i powiem moim pobratymcom, że postanowiłem przyłączyć się do nich. Powiedzą mi z całą pewnością, że nie ma już dla mnie miejsca w ich kryjówce, ja zaś odpowiem, że prześlę tę noc w prowadzącym do niej tunelu. Jeśli prawidłowo panią oceniłem, dr Tolliver, a także pani współpracowników, to jeszcze przed zachodem słońca powinniście uwolnić mnie od jakichkolwiek kłopotów mieszkaniowych.

Zdziwi was zapewne mój strój. Szczerze mówiąc, ja także nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Przypuszczam, iż jest to ostatnia próba udowodnienia, że chociaż bez wątpienia jestem jednym z tych odrażających stworzeń, to jednocześnie jestem inny - i lepszy. Bez wątpienia jest również coś zabawnego w myśli, że gdy poczuję wbijający mi się w serce drewniany kołek, będę ubrany dokładnie tak jak sam baron Dracula. Chociaż chyba analiza ta nie ma żadnego sensu. Nigdy jeszcze nie słyzałem o wampirze, który potrafiłby ocenić i docenić zabawność jakiegokolwiek sytuacji; znacznie bardziej prawdopodobne jest raczej to, że po prostu zaczyna mnie już zawodzić mój umysł.

Nie mogę być człowiekiem. Nie chcę być tym, czym jestem.

Z poważaniem - Clifford M.

Koniec

* * *

1984-05

tłum. Arkadiusz Nakoniecznik